

Jakub Ekier
Podziękowanie

Szanowni Państwo,

tłumacz jest jak dyżurny ruchu. Kieruje skojarzenia na określone tory, a kiedy oryginał da się odczytywać rozbieżnie, chcąc nie chcąc przestawia zwrotnice. Ale w którą stronę, to rozstrzyga za każdym razem na nowo, bez żadnych danych mu z góry schematów. I nieraz musi ustanowić objazd. Kiedy na przykład niemiecki wiersz bawi się idiomem, tłumacz widzi przed sobą dwie proste drogi, ale obie odwodzą od celu. Jedna zmierza tylko do oddania dosłownego sensu, gubiąc metaforę, druga – odwrotnie. Pozostaje więc wybrać drogę okrężną. Pewne jest, że ma prowadzić do celu. Ale którądy? Ten proces nieustannego podejmowania decyzji opisuje czeski teoretyk przekładu Jiří Levý. On też stosuje do swoich rozważań teorię gier. I myślę, że praca tłumacza to swobodna gra tak samo, jak zdyscyplinowana służba. Gra w służbie. Zajęcie paradoksalne – i może dlatego tak ciekawe.

Jak to się stało, że trudnię się tym zajęciem? Na takie pytanie zwykli w swoich przemówieniach odpowiadać znakomici koledzy i koleżanki, których zaszczycono przyznaniem Nagrody im. Karła Dedeciusa. Więc i ja pozwolę sobie wspomnieć, komu i czemu zawdzięczam swój stosik przekładowych publikacji, skromny, a dzisiaj tak niezwykle wyróżniony.

Moje podziękowanie, z konieczności wybiórcze, rozpocznę od człowieka-institucji: od samego patrona dzisiejszej nagrody. Bo moim początkom patronował między innymi profesor Dedecius, jako jeden z translatorskich wzorów oraz jako dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadtzie. I wciąż nie dosyć też podkreślania, ile dla ludzi naszego fachu, w tym od ponad dwudziestu lat również dla mnie, znaczy opieka ze strony tego Instytutu oraz – co często idzie w parze – ze strony Fundacji Roberta Boscha. Ogólnikowo, ale z nie mniejszą wdzięcznością nadmienię również inne, zwłaszcza niemieckie i austriackie instytucje kultury. Bez nich też niejedno przedsięwzięcie przekładowe utknęłoby na ślepych torze. Bez nich nie pochodziłbym tyle, w myśl recepty Goethego, po krajach poetów, których pragnąłem zrozumieć. Czuję się również dłużnikiem wydawnictw i pism niedających się zrazić faktem, że autor na przykład saksoński to nie autor anglosaski. Zwłaszcza moja dwudziestoletnia współpraca z „Literaturą na Świecie” pozwoliłaby ukuć przysłowie „Okazja czyni tłumacza”.

Pośród zaś osób prywatnych, o których myślę ze szczególną wdzięcznością, są na przykład konsultanci moich przekładów, począwszy od astrofizyka, skończywszy na... Aż dziw, że nie na zoologu – że to nie cały alfabet specjalności, skoro adwokatka prawa karnego albo lekarz neurolog pomogli mi nie mniej, niż iluzjonista. Przy ustawianiu pojęciowych zwrotnic doradzali mi także rodzimi użytkownicy języka niemieckiego. Spośród nich wymienię

osobę niedawno zmarłą: była nią Doreen Daume, wybitna tłumaczka literatury polskiej obdarzona też talentem przyjaźni. A ileż razy przyjaciele, a także bliscy spostrzegali w moich powstających przekładach grząskie miejsca szerszym spojrzeniem, którego brakowało mnie, myślącemu już tylko jednotorowo... Od samych zaś początków mojej pracy najcenniejsze nauki dotyczące polszczyzny i warsztatu literackiego odbieram w praniu, jakiemu moje teksty poddają w różnych temperaturach redaktorzy. Analogicznych lekcji w niemczyźnie udzielają mi sami tłumaczeni przeze mnie pisarze, gotowi odpowiadać niekiedy na dziesiątki albo setki translatorskich pytań. Cierpliwością w tej mierze zdumiewa mnie stale Reiner Kunze, należący nie tylko do najważniejszych dla mnie autorów, ale i do moich mistrzów poetyckich oraz najbliższych mi ludzi.

Koleżeństwu czy współpracy w naszej służbie rychło towarzyszy przyjaźń i kimś ważnym łatwo staje się też nauczyciel fachu. Jak na przykład pani Adelaida Gac-Holona, lektorka uniwersytecka, a dla mnie nieoceniona prywatna nauczycielka niemieckiego w latach licealnych. Ukazywała mi urodę wierszy Eichendorffa, Rilkego albo Brechta równie sugestywnie, jak wpajała różnicę między krótkim „e” a długim „e”. Albo, nieżyjący jak i ona, historyk literatury profesor Tadeusz Namowicz, opiekun mojej pracy magisterskiej, który później zaprosił mnie do współtłumaczenia dwóch redagowanych przez siebie antologii. Do osób, którym zawdzięczam szczególnie dużo, należą także pianistka profesor Roswitha Gediga oraz jej mąż Jost-Gert Glombitza, filolog i menedżer nauki. Ich dom nad Renem był dla mnie ostoją, kiedy jako student pierwszy raz pod żelazną kurtyną wymknąłem się do Niemiec – i nasza przyjaźń trwa tak samo, jak ta kolońska willa przetrwała niejedną powódź.

A wreszcie – urodzona w roku 1927 w Koblencku i zmarła przed rokiem Barbara Schreck, której obecność w życiu naszej rodziny pamiętam, począwszy od pacynki podarowanej mi w dzieciństwie. Ojca pani Barbary, nauczyciela, więzili niegdyś naziści, ona sama zaś później, przy okazji swoich pierwszych wizyt w Polsce, czuła się obowiązana zobaczyć byłe obozy koncentracyjne. Przez długi czas odwiedzała nasz kraj co roku z okazji Międzynarodowych Targów Książki, jako urzędniczka stuttgarckiej oficyny naukowej S. Hirzel Verlag. A ja równo trzydzieści pięć lat temu, zapuściwszy się w duszne ogrody Pałacu Kultury i przywitawszy Frau Schreck na targowym stoisku, bardzo jeszcze licealnie dukając, z nią pierwszą w moim życiu dłuższą chwilę porozmawiałem po niemiecku. Rozmowa ta ciągnęła się ćwierć wieku – to w Stuttgarcie, to w Warszawie, to w listach – i trudno wyliczyć, jak często pani Barbara pomagała mi na mojej literackiej drodze. Za jej sprawą na przykład pewnego dnia rodzicielski przedpokój zapełniły niespodziewane pocztowe pudła, a w nich – trzydziestodwutomowy słownik języka niemieckiego braci Grimm. Obszar słów, zwrótów i pojęć od „Aal” do „Zypressenzweig”, nieogarniony tak samo, jak obszar między słowami „abakan” i „żyzny” – jak język polski, mój we śnie i na jawie.

Te dwa leksykalne terytoria stały się dla mnie miejscem pracy. A do tego jak nikt inny przyczyniła się polska przyjaciółka Barbary Schreck – moja matka. Jej ojca, urzędnika państwowego, zaraz po wybuchu wojny bezpowrotnie zesłali radzieccy komuniści, a szesnastoletnia Maria Hanusówna musiała wkrótce swoją niemczyznę wzorowej gimnazjalistki poddawać najtrudniejszym egzaminom. Czy to kiedy, dla utrzymania swojej siostry i matki, podjęła pod niemiecką okupacją pracę stenotypistki w zakładach przemysłowych, czy to kiedy na ich teren przemyciła akowskich konspiratorów. Nieraz też okupanci nagabywali Polaków w jej najbliższym otoczeniu, a ci delegowali właśnie „pannę Malinkę” do roli tłumaczki w dalszych negocjacjach, które zawsze wtedy zaczynała od chłodnego pytania: „Was wünschen Sie?”. Po wojnie zaś moja matka, nauczycielka fortepianu, biegłością w niemieckim przyczyniła się do zaistnienia wielu wydarzeń muzycznych, a także tekstów, na czele z rozprawą Carla Philippa Emanuela Bacha, którą przełożyła pod tytułem *Rzecz o właściwym sposobie gry na fortepianie*. To matka, po swoim ojcu obdarzona talentem do języków, popierała moje pierwsze zainteresowania filologiczne. Ona, miłośniczka Heinego i Tomasza Manna, ustawiła dziecku kilka zwrotnic współdecydujących o tym, że dziś jestem tutaj.

A jestem również dzięki temu, że w wypadku samochodowym, jaki się matce przytrafił w czasie wojny, doznała ona urazu nie w skroń, co groziłoby śmiercią, lecz o centymetr obok. Dokładnie w to samo miejsce, gdzie dwadzieścia lat później znowu zraniła się w wykolejonym pociągu, pierwszy raz w życiu mając zobaczyć Niemcy. Ba – zobaczyć Lipsk. Dokładnie to samo miasto, skąd wiele lat później ja wracałem pierwszy raz w życiu, żeby usłyszeć od konduktorki, że pociąg o mało się nie wykoleił...

Jestem też wdzięczny takim kolejom losu. Dzisiejsza nagroda pozwala pomyśleć, że przebiegały nie całkiem bez sensu. Za to poczucie dziękuję fundatorom i jurorom. Podobnie jak za sam nadzwyczaj zaszczytny awans w paradoksalnej służbie tłumacza.